

*Jeśli potrafisz iść przez życie bez zaznawania bólu,
to prawdopodobnie jeszcze się nie urodziłeś
(Neil Simon)*

1

- To był kawał solidnej piłki! – krzyknął radośnie trener do zbiegających z boiska chłopców. – Daliście czadu jak nigdy dotąd!
- Się wie, panie trenerze! – zawołał któryś z nas, i gdy już byliśmy w przebieralni, nawiązała się ciekawa rozmowa.
- Ci to byli za chudzi w uszach, żeby nam dokopać. Musieliby się jeszcze raz narodzić i mieć więcej oleju w głowie do tego sportu – ocenił „na gorąco” sytuację wysoki, opalony i posiadający wszystkie atrybuty dobrego piłkarza napastnik.
- Nazywał się Ron i kopał piłkę jak rzadko kto – pewnie robił to już w łonie matki.
- Nie odkryję Ameryki, jeśli powiem, że bez ciebie i Lee nie byłoby z nami tak kolorowo jak jest cały czas – odezwał się gdzieś, z odległego rogu przebieralni Nat, prawy obrońca. – Daję głowę, że to ciebie i naszego, genialnego bramkarza wezmą do kadry jako pierwszych.
- Pamiętajcie, że to dziś mówiłem. Coś mi się widzi, że będziecie kiedyś idolami tłumów.
- Lee jest naprawdę najlepszy z najlepszych, ale ja? – spytałem z przekorną skromnością. – Takich jak ja znajdzie się jeszcze kilku w tym kraju. Jest paru chłopaków, którzy mają talent w nogach i nieco sprytu. Będzie o nich głośno za rok czy dwa.
- Kiedy już wróciliśmy spod pryszniców i przebrani szliśmy do domu – ja, Lee i nasz środkowy napastnik Bobby, ten ostatni nagle, ni stąd, ni zowąd, zagadał:
- Różne rzeczy opowiadają o tym ich bramkarzu. To oszołom. Podobno siedział w poprawczaku za to, że okradł rodziców. Parę razy widziano go z takim jednym, co ponoć zajmuje się robieniem lewej gorzały. Obraca się wśród mętów i kryminalistów. Lubi się bić. Wybuchowy. Ma wielkiego skorpiona wytatowanego na ramieniu. Chce za wszelką cenę zostać kimś w piłce. Tacy jak się zawezmą, to koniec.
- Jak wygramy ten mecz, będziemy legendą. Zdobędziemy mistrzostwo. Jeszcze tylko kilka dni, jakoś to zleci – powiedziałem mocno.
- Zależy mi na tym jak na życiu. Nawet nie wiecie jak – dorzucił Lee. - Urodziłem się bramkarzem i to jest moje miejsce na ziemi. Bez tego nic nie ma sensu. Ja nie mam sensu.
- Będziesz to miał – odpowiedziałem mu.

2

Lee nigdy nie zagrał w tamtym meczu.

Nie zagrał już w żadnym meczu.

Jego marzenia umarły śmiercią gwałtowną i nagłą.

W jednej sekundzie stały się czasem przeszłym dokonanym.

Było takie popołudnie – złe i przeklęte – kiedy wszystko runęło jak domek z kart.

O tym, co spotkało go tego dnia, miałem dowiedzieć się dopiero po latach.

Jego rodzice, w odpowiedzi na całą tę straszną sprawę, w ciągu kilku tygodni sprzedali dom i wyprowadzili się gdzieś w nieznane. Może bali się „dalszego ciągu”, a może po prostu, by nie zwariować, postanowili rozpocząć w innym miejscu wszystko od nowa.

Również po latach, dowiedziałem się, że nie opuścili miasta – zamieszkali w niewiążącej się z niczym przykrym dzielnicy, pełnej ciszy, spokoju i pięknych kasztanów.

Mecz odbył się bez niego, z rezerwowym bramkarzem Royem, beznadziejnym pod każdym względem, za którego nikt nie dałby funta kłaków. To on tego dnia jak ostatni patałach puścił trzy bramki i definitywnie uniemożliwił nam zdobycie mistrzostwa.

Kiedy następnego dnia Lee nie pojawił się na treningu, coś mnie poważnie tknęło i postanowiłem zajść do niego do domu i dowiedzieć się, co było przyczyną nieoczekiwanej nieobecności. W oknach panował mrok – nikogo nie było w środku.

Stałem tam dobre pół godziny w nadziei, że ktoś w końcu przyjedzie i odpowie na moje pytanie.

Tym kimś był jego ojciec.

Matka nie była w stanie rozmawiać, prawdę mówiąc, prawie nie kojarzyła – po potężnej dawce relanium ledwie trzymała się na nogach.

Kiedy mnie zobaczyli pod drzwiami, nie zareagowali. Ojciec postawił matkę pod ścianą w pozycji piono-
wej i otworzył szybko drzwi, obawiając się, że kobieta może w każdej chwili osunąć się na ziemię i zrobić sobie krzywdę. Z niemałym trudem doprowadził ją do pierwszego z brzegu pokoju i tam położył na łóżku.

Choć nikt mnie nie zaprosił, wszedłem za nimi. Widziałem całą tę niezrozumiałą dla mnie scenę, spoglądałem na to czując w duchu, że za chwilę usłyszę coś strasznego, coś, co zwali mnie z nóg. Miałem rację. Usłyszałem...

- Dali jej końską dawkę – powiedział do mnie ojciec. – Nie można było inaczej.

- Co się stało? – zapytałem niepewnie.

- Lee miał wypadek.

- Jaki?

- Lee miał wypadek, chłopcze.

- Powie mi pan?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo tak mi się podoba. To mój syn. To moja tragedia. Nie chcę, aby o tym gadano.

- Ale ja jestem jego przyjacielem.

- Wiem. Znam cię nie od dziś. Nie powiem ci. Po prostu nie.

- Bez niego nie daliśmy rady, wie pan...

- Bez niego my też możemy nie dać sobie rady. Idź już. Przyszedłeś nie w porę.

- Czy będę mógł...

- Powiedziałem – nie! Teraz to już nie wasz problem.

- Pan mi naprawdę nie powie?

- Wyjdz! – krzyknął wtedy do mnie z dziką złością w oczach, jakbym był najgorszym z nieproszonych gości. - Zapomnij o tym, że Lee kiedykolwiek istniał. Do domu, ale już! – wrzasnął głośno, aż coś zakłuło mnie w uszach, i nawet nie wiem, kiedy byłem już na ulicy.

Potem, w miarę jak mijał czas, nikomu z nas nie udało się dowiedzieć, co tak naprawdę przydarzyło się owego, straszego, czwartkowego popołudnia naszemu genialnemu bramkarzowi i dlaczego jego ojciec tak skutecznie „wyciszył” całą sprawę, wprowadzając w życie własną „blokadę informacyjną”. Był kimś we władzach miasta i pewnie dlatego potrafił „po swojemu” wpłynąć na każdą osobę, która chciałaby gadać na lewo i prawo o jego synu i tym, co go spotkało. Ta „zmowa milczenia” okazała się niezwykle skuteczna – poza tym, że Lee miał wypadek, nikt nigdy nie dowiedział się niczego.

Próbowałem różnych sposobów, aby na własną rękę go odnaleźć. Chciałem dowiedzieć się, gdzie zamieszkali jego rodzice. Myśl o nim wracała i wracała – nie potrafiłem uwolnić się od niej i nie uwolniłem.

Szukałem, podłapywałem każdy, lipny trop, pojawiałem się wszędzie, gdzie można było mieć bodaj cień nadziei, krążyłem po miejscach, w których nigdy wcześniej nie byłem, ogarnięty przedziwną desperacją przemierzałem coraz to nowe, wiodące donikąd drogi.

Absolutnie bezsilny i pokonany, zacząłem powoli godzić się z myślą, że tak już pozostanie.

Było w tym coś straszego i przerażającego, że nie potrafiłem myśleć o tym w inny sposób, jak tylko o koszarnej tragedii, która musiała się wtedy rozegrać.

Zastanawiałem się nad tym wydarzeniem nie raz.

Rozmawiałem o nim z innymi, których też ta sprawa boleśnie dotknęła. Nadal pamiętaliśmy go, choć stopniowo jego obraz z biegiem lat zaczął się z wolna zacierać, przybierając bardziej rozmyte i nieostre kontury.

Przez kilkanaście lat, kiedy rozegrałem sporo dobrych spotkań i strzeliłem wiele niezapomnianych bramek, stałem się znanym piłkarzem, może nie sławnym, ale rozpoznawanym i popularnym. To ułatwiło potem kontakty z ludźmi, którzy załatwili mi pewną okazję, zapewniającą mi na resztę życia stałe, godziwe dochody i brak trosk o pieniądze.

Kiedyś, będąc u kogoś, kto od dawna siedział w sporcie, dowiedziałem się przypadkowo, że jest do kupienia sporej wielkości pływalnia z salonem odnowy biologicznej oraz niewielką knajpką, która mieściła się w tym obiekcie.

Jako że zarobiłem na kopaniu „skórzanego kapcia”, jakby to określił złośliwie ojciec Lee, naprawdę poważne pieniądze, postanowiłem bez namysłu zainwestować je w ten interes i skorzystać z atrakcyjnej dla mnie oferty.

Niebawem byłem już właścicielem wszystkiego.

Firmowałem to swoim nazwiskiem, co sprawiało, że ciągnęły do nas tłumy z miasta i okolic.

W niedługim czasie, z nieco podupadającego wcześniej miejsca, uczyniłem doskonale prosperujący, przynoszący spore zyski interes.

I myślałem o nim.

Pewnego dnia, złapałem się na tym, że ta myśl wraca coraz częściej i natrętniej. W najmniej oczekiwanych momentach. Wciąż pamiętałem genialnego, dwumetrowego chudzielca, który miał zostać międzynarodową gwiazdą piłki.

Pojałem także, że minęło już wiele lat – około piętnastu, odkąd po raz ostatni go widziałem i rozmawiałem w jego domu z ojcem. Teraz miałem już prawie czterdziestkę na karku i żonę, która była wziętym ad-

wokatem. Dobrze nam było ze sobą. Nie wiedziałem, co to kłopoty i zmartwienia, co to smutki i poczucie jałowości istnienia. Smakowałem życie. Miałem dom, do którego mogłem wracać, moją pływalnię, byłem zdrowy i kochany. Miałem spokój i bezpieczeństwo. Spałem dobrze w nocy. Lecz co miał on? Gdzie wtedy był? Kim był? Co robił, kiedy ja nie musiałem robić nic, bo inni pracowali na mnie? Kiedy byłem jeszcze piłkarzem, nie miałem takich możliwości jak później, takich wpływów i znajomości, które można by wykorzystać w chwili, kiedy zachodzi nagle potrzeba poproszenia kogoś zaufanego o tak zwaną pomoc.

Nie odpuściłem.

Wiele miesięcy minęło, nie przynosząc żadnych postępów w staraniach, kiedy nagle dostałem wiadomość od jednego z moich znajomych, która była tym, czego potrzebowałem.

Człowiek ten powiedział mi, gdzie mieszka rodzina Lee.

Ustalił to z wielkim trudem, gdyż była to tajemnica i część owej „blokady informacyjnej”, którą przed laty wprowadził skutecznie w życie ojciec.

Nie dowiedziałem się od znajomego, skąd zdobył ten adres – nie chciał mówić.

Warunkiem tego, że wyświadcza mi przysługę, miała być absolutna dyskrecja. Uszanowałem jego warunek i nie pytałem o nic – miałem wszak to, o co mi chodziło.

Kiedy mu wyraziłem całą wdzięczność, on spokojnie i bez emocji powiedział mi, że był to pierwszy i ostatni raz, kiedy miał coś wspólnego z tą rodziną i z człowiekiem, który nadal jest we władzach miasta, ma potężną władzę, szerokie znajomości i wiele może. Dał mi do zrozumienia, żebym przestał się tym zajmować, bo mogą być z tego tylko same kłopoty.

Nie wiem, czy było to tydzień, czy dwa po rozmowie z poufnym informatorem, kiedy ostatecznie i nieodwołalnie zdecydowałem się na poważny krok, na pójście tam pomimo wszystko, bez względu na ewentualne konsekwencje, i próbę nawiązania jakiegokolwiek rozmowy, jeżeli w ogóle będę miał na to szanse. Wiedziałem, że już się nie cofnę – nie po to szukałem tego domu przez wiele lat. Byłem świadom także i tego, że ojciec Lee, zobaczywszy mnie, znów wrzśnie w moim kierunku, abym się wynosił do diabła, lub może, nieco grzeczniej, powie mi ze złym błyskiem w oku, że nie ma czasu i że powiedział mi przed laty wszystko.

Z tym musiałem się liczyć.

Teraz pozostawało wybrać odpowiedni dzień i porę.

I wierzyć w łut szczęścia.

Choć znałem jego smak, teraz wydało mi się towarem deficytowym.

3

Nie wiem, czemu wybór mój padł na czwartek.

Był sierpień i od wielu dni utrzymywała się fantastyczna pogoda.

Tego dnia nie padał deszcz, nie było też burzy ani piorunów na niebie. Byłem bardzo spokojny, kiedy tam jechałem. Sam nie wiem, skąd pojawił się wówczas ten nieoczekiwany spokój. Może, kiedy się denerwujemy i przekraczamy w tym pewną granicę, poza nią jest już tylko beznamiętny chłód i zdanie się na to, co być musi, czy chcemy tego, czy nie.

Minęło wiele lat.

Szmat czasu i nie miałem pojęcia, w czym za chwilę wezmę udział.
Najzwyczajniej podjechałem pod ich dom i wysiadłem z samochodu.
Tym razem w mig dostrzegłem w oknach światło – miałem zatem cień nadziei.
Stałem przed furtką i nacisnąłem dzwonek.
Po chwili odezwał się męski głos – to był ojciec, jego głos nieco osłabł, lecz poznałem go natychmiast:

- Słucham?
- Chciałem z panem porozmawiać. To ja, Mike. Pamięta mnie pan?
- Jasne.
- Czy mogę?
- Poczekaj. Zaraz do ciebie wyjdę – powiedział to inaczej niż wtedy, bez złości i krzyku.

Nie minęło kilka minut, kiedy wpuścił mnie do środka. Postarzał się przez te lata, osiwiiał i jakby zmałał.

- Nie dajesz za wygraną, co?
- Co mam panu powiedzieć? Że przejeżdżałem właśnie ulicą i postanowiłem wpaść z towarzyską wizytą? Nie wiem, co można powiedzieć w takiej chwili. Po prostu musiałem tu przyjechać. Nie dziś, to za rok. Kiedyś bym pana znalazł.
- Nie zapomniałeś? – jego głos był spokojny.
- Nie.
- Wiem co nieco o tobie. Masz fajny klub, czy coś w tym stylu. Jesteś wciąż znany i ludzie często o tobie mówią. Doszedłeś do czegoś. Nie poszedłeś na dno.
- Co to ma do rzeczy?
- A ma. Ma bardzo wiele.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Poszliście w świat – wy, ci piłkarze z tamtych czasów. Macie dziś domy, firmy, samochody i ładne żony. Powody do dumy. Wasze życie to wieczne pasmo sukcesów.
- Niech pan w końcu mi powie. Pan wie, że nie wyjdę stąd, jeśli nie dowiem się, co się wtedy stało z Lee. Muszę to wiedzieć.
- On cię lubił. Mówił nam o tobie często jak o kimś mu bliskim. Wierzył, że daleko zajdziesz. Że będziesz grać w międzynarodowych drużynach. To właśnie mówił. Lubiał cię, chłopcze... - wypowiedziawszy te słowa, nagle zamilkł.

Kątem oka dostrzegłem, że ma mgliste spojrzenie – gdy człowiek zaczyna płakać, zawsze tak jest. Gdy po chwili raz jeszcze odwróciłem się w jego stronę, wiedziałem, że będzie ze mną rozmawiać.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i schował w niej na moment twarz.

- Dobra. Powiem ci. Ale zachowaj to dla siebie. To prośba. Nie chcę ci grozić. To nie może iść do ludzi. Jestem tylko ojcem. Teraz jestem tylko nim.
- Pozostanie. Ma pan moje słowo – odpowiedziałem twardo.
- Zacznę od końca. Moja żona miała kiedyś całkiem niezłe biuro rachunkowe. Dobrze sobie radziła, zatrudniała tam parę osób. Była zadowolona z tej pracy. Czuła się dowartościowana. Nie musiała być zdana na łaskę męża. Była zadbana i elegancka. Ładnie się ubierała, ładnie pachniała. Miała modne fryzury i chciało jej się gotować wyszukane obiady. Była najinteligentniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem i powiem ci coś – nie dorastałem jej nigdy do pięt, choć miałem władzę. Ona świeciła własnym blaskiem i to zwałało mnie z nóg. Mogłem słuchać, jak godzinami opowiadała o pisarzach, filozofach i artystach, których nawet nie znałem, aby tylko posłuchać, jak o tym mówi. Ileż było w tym piękna, chłopcze. Gdybyś tylko, choć raz usłyszał jej głos, zakochałbyś się w nim.
- Możliwe – odparłem.
- Ona kochała tę jego piłkę. Była z niego dumna. Ja też byłem, ale ona chyba bardziej. Może nie powinienem tak surowo na niego patrzeć? Może byłem za ostry? Ja myślałem, że źle robi poświęcając się cze-

muś, co nie będzie wieczne.

- Tak... - powiedziałem, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Ale dziś jest już po wszystkim.

- Nie rozumiem.

- Od tamtego dnia jest już kimś innym... Już jej nie ma. Tej dawnej, błyskotliwej, rozśpiewanej i pełnej radości. To minęło w jednej chwili. Wtedy przekroczyła granicę...

- Co ma pan na myśli?

- Ona całymi dniami siedzi w oknie i czeka, aż on wróci z treningu i powie do niej: „Mamo, może nie-
długo będę kimś sławnym? Może będziesz ze mnie dumna, jak jeszcze nigdy nie byłaś? Może moje
zdjęcia będą w każdej gazecie i każdy będzie wiedział, że twój syn zaszedł tak daleko? Kiedyś to osiągnę,
kiedyś świat będzie mój...” Ona wciąż siedzi w oknie, całymi dniami, i czeka na niego. Od rana do wie-
czora. Nawet nie wie, nawet nie potrafi już tego przyjąć do wiadomości, bo jej mózg to odrzuca, że on...

- Że co?

- Że on nadal jest w domu. Że jest w nim cały czas i nigdzie nie wychodzi od wielu lat.

- Jak to? To Lee jest teraz tam? – mówiąc to, spojrzałem na dom.

- Tak. On jest teraz w swoim pokoju. Pewnie śpi. Na pewno śpi. Kiedy na niego czeka, on jest obok,
chodzi wzdłuż ścian i nic nie mówi. Czasem tylko, kiedy go coś najdzie. Od tamtej pory prawie się nie
odzywa. Od tamtej pory nigdy już nie wspomniął o wypadku. Jestem pewien, że nigdy już o nim nie
wspomni. Kiedyś mówił tak wiele. Ale to już nie wróci. Czasem zapominam, jak brzmi jego głos...

Na chwilę zamilkł, lecz po kilku sekundach ciągnął dalej:

- On nie jest już tym, kim był, kiedy go znałeś. Wiele się zmieniło.

- Co?

- Jedyńm jego życiowym osiągnięciem było to, że skończył kurs dla masażystów.

Chyba domyślasz się, do czego zmierzam? Chyba wiesz, kim bywają często masażysci?

- Nie.

- Naprawdę?

- Tak.

- To ci powiem. Słuchaj uważnie. Tamtego dnia, kiedy wracał do domu, został napadnięty przez dwóch
takich, którzy za parę groszy zabiliby własną matkę.

- Domyślałem się, że coś było nie tak.

- Załatwili go na zawsze. Nawet nie zdążył odskoczyć. Jeden go uderzył, a drugi wylał mu na twarz kwas
solny... Kwas solny... Czy rozumiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak - odpowiedziałem z trudem.

- Spalili mu całą twarz. Stracił wzrok. Potem miał wiele operacji, przeszczepów.

Nie wiem sam ile, tyle tego było. Nadał ich ten bramkarz, nazywał się Hank. Był nie do ruszenia. Miał
„plecy” w mafii. Kierowali później jego karierą. Nie mogłem go dopaść, bo potem dopadliby mnie. Mu-
siałem pamiętać, że mam jeszcze żonę. Tych, co załatwili mojego chłopaka namierzyłem. Wylądowali w
rzece w betonowych skarpetkach, wcześniej wyśpiewawszy, kto im zlecił to wszystko. Były to jakieś
pętaki od brudnej roboty. Nic nie znaczyli, więc nikt się za nich nie mścił. Ale tego bramkarza „kryli”
nieźle. Pewnie żyli z niego i z innych takich jak on. Oni są wszędzie – w sporcie, w rozrywce, w polityce.
Są jak rak. Na raka nie ma lekarstwa. Na to się umiera. Dostałem kiedyś telefon, żebym uważał, co robię i
z kim pogrywam w konia, bo jak będę taki kozak, to któregoś dnia znajdę głowę żony w lodówce...

- Czy jest pan pewien, że to robota Hanka? – zapytałem.

- Jestem.

- To była zawsze szumowina, ale nie przypuszczałem, że aż taka. Poszedł po trupach. Nawet nie wiem,
czy jeszcze gra. Chyba jest już na to za stary.

- On już nie gra. Przez te lata, co jakiś czas, ktoś z moich ludzi węszył za nim. Był za granicą, ale wrócił

parę lat temu. Podobno zakończył karierę. Gdzieś się zaszył. Nie można go namierzyć. Wielu próbowało. Ukrył się, bo wie, że wciąż o nim myślę. Wie, że będę go szukać. Może „tamci” odwrócili się od niego w międzyczasie?

- Może.

- I pomyślałem tak sobie, że skoro Lee zna się na masażu, może powinien gdzieś spróbować, może powinienem znaleźć mu jakąś pracę? Ktoś z moich ludzi woziłby go tam i przywoził z powrotem do domu. Nie chcę, żeby chodził po mieście z białą laską, nie chcę dla niego tego upokorzenia.

- To nie jest zły pomysł - odrzekłem mu. – To jest bardzo dobry pomysł.

- Mam nawet maskę, którą mocuje się na głowie z tyłu gumą. To twarz młodego mężczyzny, pewnie jakiegoś greckiego bożka lub coś w tym stylu. On ją polubił. Nauczył się widzieć palcami. Poprzez dotyk wyobraża sobie, jak coś wygląda. To przyszło samo.

- Niewidomi zawsze tak robią. Słyszałem o tym – powiedziałem.

- On chce wrócić do świata i uważam, że tak trzeba. Ma jeszcze dużo siły do życia. Po tym wszystkim niejedną załamałby się na zawsze. On był na dnie przez wiele lat, ale ostatnio coś się w nim przełamało. Usłyszawszy te słowa, poczułem w głowie zamęt. Nie byłem w stanie przez chwilę pozbierać myśli. Czy był to przedziwny zbieg okoliczności, czy też jeszcze coś innego – nie wiem.

Nagle coś do mnie dotarło z siłą huraganu. Przypomniałem sobie, że jakiś czas temu daliśmy do gazety ogłoszenie, że poszukujemy dwóch pracowników – masażysty i szatniarza.

- Mam dla niego pracę – rzekłem twardo. – W moim klubie. Brakuje nam masażysty.

Gdy wypowiedziałem to, ojciec spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- A niech cię! – rzekł krótko, a ja wiedziałem już, że na to tylko czekał. – Nie wierzę.

- Musi pan – zakończyłem.

Przez chwilę wycierał oczy i nos, a ja spoglądałem na niego z boku i czułem, że człowiek ten musiał przejść naprawdę długą drogę.

Nagle powiedział:

- Przepraszam cię, Mike. Za wszystko. Za tamto i w ogóle. Jestem tylko ojcem.

- Nigdy się na pana nie gniewałem. Miał pan prawo tak się zachować. Na pana miejscu pewnie zrobiłbym dokładnie to samo.

- Wejdiesz?

- Tak – rzekłem mocno – wejdę. Czekałem na to od bardzo dawna. Od tamtego czwartku.

- Chodź – powiedział, i gdy już wstałem, ruszyliśmy we wiadomym kierunku.

4

Spotkanie z Lee po latach zaskoczyło mnie.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać i na co się nastawiać. Wszystko było przecież możliwe – i to, że będzie chciał ze mną porozmawiać, i to, że do rozmowy może w ogóle nie dojść.

Czas robi swoje i nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. Zwłaszcza w tak niezwyklej sytuacji, jak moje pojawienie się w ich domu. Miałem setki myśli na minutę i szum w uszach.

Nie było żadnego planu. Postawiłem więc na spontaniczność.

- Lee, masz gościa - powiedział ojciec, delikatnie otwierając drzwi do jego pokoju.

Kątem oka dostrzegłem, że nie spał – leżał na łóżku na wznak i nie ruszał się.

- Ktoś do ciebie przyszedł - powtórzył ojciec.

Wtedy Lee dźwignął się i odwrócił.

Gdy zobaczyłem jego twarz, zrobiło mi się słabo i poczułem się, jakbym gwałtownie spadał w głąb długiej, ciemnej studni, na dnie której siedzi diabeł i rechocze złośliwie.

Żadne słowa nie opiszą tego, co wtedy ujrzałem.

Jeśli istnieje pojęcie idealnego koszmaru, to była nią właśnie jego zniekształcona twarz...

Siedział na łóżku i niewidzącymi oczami patrzył w stronę drzwi.

Poruszył się jakby zawstydzony i zażenowany, że ktoś zobaczył to, kim się stał, i odruchowo odwrócił głowę w kierunku okna.

- Tu od lat nikt nie wchodził. Ty jesteś pierwszy - padło tłumaczenie ojca.

Staliśmy przy wejściu i czekaliśmy, co zrobi Lee. Nikt z nas nie chciał zmuszać go do niczego. Takie rzeczy muszą dziać się same, spontanicznie i bez przymusu. Co chwila spoglądaliśmy na siebie z ojcem i nie robiliśmy nic.

Nagle coś się zmieniło.

Lee nieoczekiwanie wstał, zwrócił się twarzą ku nam i podszedł do drzwi.

- Kto to? – spytał niewyraźnie.

Zrozumiałem wtedy, że w wyniku poparzeń jego głos uległ także widocznej deformacji.

Stał się chropowaty i gardłowy.

- Zgadnij – odpowiedział w naturalny sposób ojciec.

Usłyszawszy to, Lee wyciągnął ręce przed siebie i po chwili palcami błędził już po mojej twarzy, badając ją centymetr po centymetrze. Patrzyłem na niego i dostrzegłem coś na kształt ożywienia, jakby nerwowego, instynktownego spazmu, który przebiegł przez jego oblicze.

Wtedy poczułem też, że długie, cienkie palce drżą, i jak się miało niebawem okazać, ów przedziwny dreszcz nie był dziełem przypadku. On coś przeżywał, coś się w nim rodziło, coś chciało wydostać się na zewnątrz.

- Mike? – zapytał niepewnie.

- Tak. To ja - odpowiedziałem.

- Co tu robisz?

- Przyszedłem cię zobaczyć.

- Już wiesz o wszystkim, prawda?

- Prawda, Lee, wiem.

- Nie patrz na mnie.

- Będę. Czekałem wiele lat na nasze spotkanie. Szukałem cię wszędzie. Nie wiedziałem, co myśleć, kiedy wtedy tak nagle zniknąłeś.

- Nie mówmy o tym. To mnie już nie obchodzi.

- Teraz będziemy mogli mówić o wszystkim. O wszystkim, co może jeszcze być.

- Co może spotkać mnie i tę zniszczoną twarz?

Tego dnia rozmawialiśmy do późnej nocy – o tamtych czasach, o dobrych dniach, które razem przeżyliśmy i o tym, że życie się jeszcze nie kończyło i zawsze można wziąć się w garść i rozpocząć własną grę od początku, na przekór ludziom, chorobom, nieszczęściom i własnej słabości.

Gdy miałem już wychodzić, powiedział na sam koniec:

- Nie zawiodę cię, Mike. Nie zawiodę już nikogo.

Potem zaczął pracować jako masażysta w klubie i od początku dałem wszystkim do zrozumienia, że jest tu na specjalnych prawach. Zapowiedziałem także grzecznie, aczkolwiek bardzo stanowczo, że jeśli

usłyszę, że ktoś wypowiada przykre i złośliwe komentarze pod jego adresem, natychmiast wyleci z pracy na zbity pysk. Pracowałem z dobrymi ludźmi, więc nie musiałem im tego mówić. Chciałem jednak, aby wszystko było od tej pory jasne.

I było.

Lee został ciepło przyjęty i zaakceptowany przez moich pracowników, których nie dziwiła nawet jego „grecka” maska, w której pracował i ogólna małomówność. U mnie miał dożywocie na wszystko i byłem pewien, że odnajdzie w końcu spokój, poczucie osobistej godności i własnej wartości.

Nadal brakowało nam szatniarza...

Przychodzili różni ludzie, z których wciąż nikt nie odpowiadał naszym wymaganiom i oczekiwaniom.

Pewnego dnia w klubie pojawiła się kobieta w średnim wieku z wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, który wysoko nosił głowę, gdyż jak wszyscy niewidomi, poruszający się o białej lasce, próbował udawać, że wszystko jest nadal w porządku i jakoś sobie radzi. Miał czarne okulary i jak na swój wiek, który określiłbym na około czterdzieści lat, był prawie siwy.

Poprosiłem wówczas, żeby usiadł w korytarzu, a ja przez chwilę porozmawiam z jego żoną, bowiem tak sobie o niej pomyślałem. Zaprosiłem ją do gabinetu i zapytałem, o co chodzi. Wyglądała na bardzo zde-terminowaną, i gdy odezwała się w końcu, wiedziałem, że chodzi jej o tę pracę.

- Chciałabym pracować u pana – powiedziała wprost.

Przyjrzałem jej się bliżej i nie udało mi się do niczego przyczepić.

Pozwoliłem jej mówić dalej:

- Czy byłoby możliwe, abym pracowała razem z mężem? On będzie w tym czasie siedział sobie w szatni, może czasem mnie na chwilę zastąpi. Nie potrafi być sam. Boi się każdej chwili, kiedy mnie przy nim nie ma. Wszędzie ze mną chodzi. Nigdy nie pozostawiam go samego w domu, bo boi się, że zwariuje. Taki jest. Nie mam na to wpływu.

Jest niewidomy, ale pozna wszystko po dotyku. Te metalowe numerki, jakie są w szatniach, odróżni natychmiast. Nie pomyli ich. Ma małą rentę, a ja pracuję tylko na pół etatu jako kucharka. Nie przelewa nam się. Gotuję w małym przedszkolu. Tam też ze mną jest.

Nagle zapytałem:

- Czy pani mąż na pewno da sobie radę?

- A mógłby spróbować? Z tymi numerkami, bo to chyba najważniejsze?

- Dobrze. Chodźmy do szatni – zakończyłem i wyszliśmy z mego gabinetu.

Podeszła do niego i coś mu powiedziała na ucho. Ożywił się i wstał. Razem poszli za mną na parter, gdzie mieściła się szatnia.

Wszedłem za ladę i zdjawszy z wieszaków garść metalowych tabliczek z numerkami, podałem je mężczyźnie. Nie był zbyt rozmowny. Z jego ust nie padło żadne słowo.

- Niech pan mówi mi, jaki to numer, dobrze? – poleciłem.

- Dobrze – odpowiedział poważnym głosem.

Nie pomylił się ani razu.

Zapytałem:

- Da pan sobie radę?

- Dam – odparł twardo.

Pomyślałem wtedy o Lee i o tym, że skoro on jako niewidomy doskonale radzi sobie w pracy, może i ten milczący, oszczędny w słowach mężczyzna również nie będzie miał z nią kłopotów.

Po tym, co spotkało Lee, spojrzałem innymi oczami na tych, którzy żyli w świecie wiecznego mroku i po-

stanowiłem zrobić dobry uczynek – tak po prostu, najzwyczajniej, po ludzku. Cemu miałem nie dać szansy temu człowiekowi? Cemu miałem nie pomóc tej kobiecie?

Może i ja będę kiedyś w potrzebie? Może ci, którzy mają wiele, powinni dawać więcej niż ci, którzy mają mało?

Zatrudniłem ją i pozwoliłem mężowi siedzieć z nią w szatni.

Pracowali na zmianę i nie było z nimi żadnych problemów.

Minęło kilka tygodni.

Jednak nadszedł dzień, który miał być dla mnie jak uderzenie pioruna...

Jak trzęsienie ziemi, po której bezpieczną stopą chodziłem od lat. Nawet przez chwilę nie przypuszczałem, że stanę się dla innych sędzią. W moich rękach spocznie los kilku osób, ich przyszłość i życie, zguba lub wybawienie.

Pewnego dnia, przechodząc obok szatni zauważyłem tam Lee, jak rozmawia z niewidomym mężem naszej szatniarki. Podeszedłem bliżej i stanąłem za murkiem, aby posłuchać.

Coś mnie w tym wszystkim zaintrygowało. Coś wydało się dziwne i niespotykane. Otóż obaj nie należeli do ludzi rozmownych i gadatliwych. Teraz to wyglądało inaczej – rozmawiali jak starzy kumple i miło było popatrzeć, że poczuli do siebie coś na kształt sympatii.

Nagle Lee spytał go o powód utraty wzroku.

Wówczas mężczyzna powiedział krótko, że kupił kiedyś lewy alkohol, który okazał się zabójczym dla oczu metanolem. Był wtedy jeszcze kimś, był znany. To mnie tknęło nie na żarty, więc słuchałem dalej.

Mówił Lee o tym, że był sławny i zarabiał duże pieniądze, które źle ulokował i stracił wszystko w jeden dzień. Mówił także o tym, że teraz żyje tylko dzięki żonie i bez niej jest nikim. Nie miał pojęcia, jak wygląda Lee, nie miał pojęcia, że chodzi w masce, nie mógł mieć o niczym pojęcia, gdyż szybko zauważyłem, że mój przyjaciel starał się omijać temat starych czasów, kim wówczas był i co wtedy robił. Nie wspomniał o tym nawet słowem. Tamten nie wiedział, że był najlepiej zapowiadającym się bramkarzem, jaki grał w tym kraju, i że skończyło się to pewnego, przekłętego dnia.

Gdy mężczyzna zapytał go, jak i gdzie stracił wzrok, Lee długo milczał, po czym powiedział, że miał wypadek samochodowy. Nie powiedział prawdy – nie chciał na ten temat rozmawiać.

Choć była już jesień, nadal było bardzo ciepło.

Tego dnia w klubie słońce nieźle paliło w okna i pewnie właśnie to skłoniło mężczyznę do zdjęcia swetra i do pozostania w kolorowej koszulce z wizerunkiem kowboja w brązowym kapeluszu.

Lecz nie to rzuciło mi się natychmiast w oczy, nie to...

Tym czymś był tatuaż, który miał na ramieniu – wielki, czarny skorpion.

Poczułem, jakby czas nagle cofnął się do chwili, kiedy graliśmy tamten mecz, w którym Lee już nie wystąpił. Poczułem, że krew burzy mi się w głowie, a ja sam za chwilę eksploduję jak bomba. Pamiętałem zbyt dobrze chwilę, kiedy po ostatnim gwizdku ten zbir zdjął koszulkę i wyrzucił ją w powietrze na znak zwycięstwa. Stałem wtedy niedaleko, bardzo blisko. W tamtej chwili zobaczyłem ten tatuaż i jestem pewien, że rozpoznałbym go po dwudziestu latach na drugim końcu świata.

Miałem pozwolenie na broń ostrą – jako właściciel poważnego interesu zdobyłem je bez problemu.

Coś szepnęło mi, aby zabić go na miejscu.

Jednak nie zrobiłem tego.

Myśl pewna i stanowcza. Gdybym to zrobił, zniżyłbym się do jego poziomu, stałbym się nikim dla siebie samego. Byłbym wtedy kim? Mścicielem? Przeznaczeniem? Byłbym takim samym ścierwem i niczym innym. Czy zmieniłoby to coś?

Pomógłbym Lee? Zwróciłbym mu wzrok? Dałbym mu poczucie zaspokojenia?

Wiedząc, że Hank był teraz moim szatniarzem, pomyślałem o czymś jeszcze.

Lee nigdy nie dowiedział się, kto stał za jego wypadkiem. Jego ojciec zadbał o to, aby nic do niego nie dotarło. Nie miał pojęcia, że był to ten sam człowiek, który teraz rozprawiał o swym życiu, w szatni, w moim klubie, pod moim okiem, za moim przyzwoleniem.

Wiedziałem też, że nigdy nie przyzna się do swego czynu, bo jakież to bandyta będzie chętnie, po latach rozповідаć o swoich dokonaniach, kiedy prawo wciąż może go dopaść i za chwilę może poczuć, jak smakuje życie w więziennej celi i perspektywa spędzenia w niej reszty dni, które zmieniają się nagle w piekło, beznadziejność i błaganie o śmierć.

Lee nie dowiedziałby się od niego prawdy. To było pewne i logiczne. On też wciąż chronił skórę.

Pomyślałem, że prawda nie zawsze jest błogosławieństwem. Bywa przekleństwem, po stokroć gorszym od kłamstwa, które niesie czasem nadzieję. Czy mogłem mu ją wtedy odebrać? Czy miałem do tego prawo? Byłbym sędzią, który wyda wyrok, bez cienia wątpliwości jak wtedy tamten, odbierając mu twarz i szanse na normalną, szczęśliwą przyszłość? Może powiedziałby o wszystkim ojcu, a wtedy rozpętałoby się piekło. Mój ruch uderzyłby przede wszystkim w niego – w jego na nowo odzyskany spokój. Teraz ja okazałbym się bezlitosny i bezwzględny. Wiedziałem, ile kosztowało go ponowne zbliżenie się ze światem, ile lat żył w niebycie, skazany na wieczne wspomnianie czasu, którego już nie mógł cofnąć.

Czy mogłem być mu Bogiem? Czy można być Bogiem w stosunku do drugiego człowieka?

Patrzyłem na czarnego skorpiona...

Stałem tam jeszcze parę minut, po czym poszedłem do gabinetu i zapłakałem jak dziecko.

Wtedy też podjąłem decyzję.

Postanowiłem wyrzucić Hanka i jego żonę z pracy następnego dnia – nie potrzebowałem tu tych ludzi, nie potrzebowałem patrzeć na nich i myśleć o Lee i jego zmarnowanych latach.

Oni tylko mi o tym przypominali – byli jak film, puszczany w nieskończoność.

Zrobiłem jak postanowiłem.

Zawołałem ich do gabinetu i w krótkich słowach, nie podając powodów decyzji, oznajmiłem im, że mogą wracać do domu.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Gdy się nagle otworzyły, zobaczyłem w nich „grecką” maskę.

- Czy możemy porozmawiać? – zapytał mnie niewyraźnym, gardłowym głosem.

- Oczywiście – odparłem. – Tylko skończę.

- Czy możemy porozmawiać teraz? – zapytał nieco inaczej Lee, wyraźnie akcentując słowo „teraz”.

- Tak – mówiąc to, poleciłem Hankowi i jego żonie, aby poczekali przed gabinetem.

- O co chodzi? – byłem szczerze zdziwiony zdecydowaniem przyjaciela.

- Odkąd nie widzę, posługuję się palcami i uszami. To są dzisiaj moje oczy. Akurat chciałem z tobą porozmawiać, kiedy przypadkowo usłyszałem, że zwalniasz ich.

- Tak, to postanowione – odparłem.

- Nie rób tego.

- Dlaczego?

- Nie rób, Mike...

- Ale dlaczego?

- Ja wszystko wiem... - rzekł tak, że zrobiło mi się zimno.

- Co wiesz?
- Ja mu wybaczam - jego słowa wbiły mnie w fotel i sprawiły, że czarne kropki pojawiły się przed oczami.
- To ty wiesz? – zapytałem oszołomiony.
- Wiem... Wiem, że to on mi to wtedy zrobił. On nasłał na mnie tamtych ludzi.
- Czy się wygadał?
- Nie. Kiedyś słyszałem, jak ojciec rozmawiał z kimś przez telefon i powiedział, kto mnie tak załatwił, kto to zlecił. Padło wówczas jego imię. Wiedziałem o tym od lat.
- Więc sam doszedłeś do tego, że to on, mąż tej szatniarki, jest nim?
- Mówił, że był kiedyś bramkarzem drużyny, z którą graliśmy tamten mecz o mistrzostwo. Powiedział mi to niedawno. Zebrało mu się na wspomnienia. Od razu wiedziałem, kim jest.
- On nie wie, kim ty jesteś, prawda? – musiałem się upewnić.
- Nie wie. Nie wie, że byłem piłkarzem. Myśli, że jestem zwykłym, niewidomym człowiekiem znikąd.
- Nie może tak być.
- On dostał już swoją karę. Los dał mu to, co wtedy dał mnie. Dziś jedziemy na tym samym wózku. Daj mu spokój, Mike, jeśli ja potrafię o tym zapomnieć, zrób to i ty.
- Przerażasz mnie... - głos z trudem wydobył się z gardła.
- Nie ma takiego prawa, które karałoby człowieka dwa razy za tę samą zbrodnię.
- Ale on zniszczył ci życie! – krzyknąłem nagle.
- I co za to dziś ma? Czy nazwiesz go szczęśliwym człowiekiem? Zazdrościsz mu czegoś?
- Nie.
- Pozwól mu tu pracować. I jego żonie też. Mieli swoje pięć minut, i dziś tak jak ja, potrzebują twojej pomocy. Nie odwracaj się plecami. Nie rób tego. Myślę, że teraz, kiedy nie widzi, często wraca do niego tamten czwartek i to, co mi zrobił. Dziś rozumie, co to znaczy żyć w świecie, w którym nie świeci słońce. Do końca życia będzie niósł ten ciężar.
- Powiesz ojcu? – zapytałem odruchowo.
- Nie. On by go zabił. On mu nigdy nie wybaczył i nie wybaczy. Wiem, że nadal go szuka.
- Dobrze. Zrobię to dla ciebie. Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko. Nawet wbrew sobie.
- Dziękuję.
- Zawołaj ich - poleciłem mu.

Zrobiłem to, o co mnie poprosił.

Nie wyrzuciłem ich z pracy. Powiedziałem, że zaszła pomyłka i mogą wracać do szatni.

Wydawało się, że wszystko jest znów jak dotąd.

Była jednak pewna rzecz, która nie dawała mi spokoju...

Hank musiał wiedzieć, kto jest właścicielem klubu, w którym pracuje.

Ciekawe, na co liczył, przychodząc tu i wiedząc, że grałem wtedy w tamtej drużynie.

Z góry założył, że nie mam pojęcia, kto wtedy tak urządził Lee i nigdy nie przyszło mi do głowy, że to mógł być on. Musiał mieć pewność, że nic nie wiem.

Ojciec mojego przyjaciela tak skutecznie „wyciszył” sprawę, że Hank miał żelazną pewność, że nikt nigdy nie dowiedział się od niego prawdy, bo człowiek z jego pozycją społeczną zawsze dba o swoje sprawy, jak rzadko kto i pilnuje ich jak oka w głowie.

Ci dwaj, którzy wylądowali potem na dnie rzeki w betonowych skarpetkach, również nie rozgłaszali woła, kto ich nadał i dlaczego, bo tak mieli przykazane i doskonale rozumieli, co by było, gdyby puścili parę z gęby.

Zakładał pewnie dwie rzeczy: że wcześniej czy później dowiem się, że był bramkarzem tamtej drużyny,

lub może wcale nie skojarzę go z piłką, bowiem przez tyle lat mogłem zapomnieć jego imienia i nazwiska, nie mówiąc już o wyglądzie, który bardzo się zmienił.

Był spokojny, że nic się nie stanie.

Wbrew sobie ibrew temu, co czułem, posłuchałem prośby Lee, lecz w duchu postawiłem pewien warunek, o którym mój przyjaciel nigdy miał się nie dowiedzieć.

Mianowicie obiecałem sobie, że dopóki Lee będzie chciał pracować w moim klubie, dotąd będę tolerował obecność Hanka i jego żony w mojej szatni. Gdyby mój przyjaciel pewnego dnia chciał odejść, natychmiast tamci dwoje pójdą w jego ślady.

5

Minęły dwa lata i trzy miesiące.

W tym czasie wiele się zmieniło.

Lee wrócił całkowicie do formy i do życia, i choć jego twarz wciąż zakrywała „grecka” maska, w jego umyśle i sercu nastąpił ogromny przełom. Stał się pogodnym i zadowolonym z siebie człowiekiem i definitywnie odciął się od przeszłości, żyjąc teraz pracą, w której zrobiłem go szefem salonu odnowy biologicznej. Będąc bardzo częstym gościem w moim domu, jeszcze bardziej zbliżył się do mnie, a ja do niego.

Chętnie odwiedzałem jego ojca, z którym nawet udało mi się przejść na „ty” i wszystko wskazywało na to, że po latach burzliwych, ciężkich i złych, nastał wreszcie upragniony spokój i harmonia.

Pozory czasem mylą.

Był czwartek, środek września, dzień jakich wiele.

Gdy przyjechałem do klubu, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, to pusta szatnia.

Hanka i jego żony jeszcze nie było.

Po godzinie oczekiwania na ich przyjście, zdenerwowałem się i posłałem kogoś do nich do domu, aby sprawdził, co się dzieje. Sprawdził i wrócił po jakimś czasie. Jego twarz była zielona i odkształcona dziwnym przerażeniem.

Dowiedziałem się, co zaszło.

Mój człowiek rozmawiał z żoną Hanka jedynie przez krótką chwilę, bowiem policja pozwoliła mu tylko na to.

Okazało się, że poprzedniego wieczora, gdzieś około dwudziestej, starszy mężczyzna z kręconymi, jasnymi włosami, równie jasnymi wąsami i brodą, zapukał do ich drzwi.

Gdy kobieta otworzyła, przywitał się i zapytał, czy może prosić Hanka na chwilę, gdyż ma do niego pilną sprawę. Do środka wejść nie chciał, twierdząc, że zaczeka na dworze.

Po kilku minutach Hank wyszedł z domu, zorientować się, kto chce się z nim widzieć i dlaczego.

Nigdy już do niego nie wrócił. Został na trawie. Martwy. Z kulą w czole.

Zabójca miał pistolet z tłumikiem – nikt nie usłyszał strzału. Nie pozostawił żadnych śladów butów, gdyż wokół domu był trawnik. Rozpłynął się w powietrzu tak nagle, jak się pojawił...

Choć później dość długo trwało śledztwo w sprawie tego tajemniczego morderstwa, sprawcy nigdy nie ujęto. Był wciąż na wolności i żył gdzieś, wśród nas.

Żona Hanka nadal pracowała w szatni. Nigdy potem nie widziałem już na jej twarzy uśmiechu. Choć była jeszcze młodą kobietą, z dnia na dzień wewnątrz zestarzała się, skurczyła i zgasła jak zdmuchnięta świeca. Podniosłem jej nawet pensję, aby mogła jakoś wiązać koniec z końcem.

Lee pozornie zachował spokój.

Czułem, że w jakiś, jemu tylko wiadomy sposób, cała ta sprawa dotknęła go i poruszyła.

Nie chciał o tym rozmawiać, więc nie rozmawialiśmy.

Pewnego wieczora byłem u niego w domu i jak zwykle jego ojciec poczęstował mnie doskonałym koniakiem, który bardzo lubiłem, rozprawiając z podnieceniem o tym, że właśnie kupił sobie nową, nowoczesną kosiarkę, którą jeździło się po trawniku jak małym traktorem, i bardzo nalegał, abym rzucił na nią okiem. Zgodziłem się i poszliśmy do garażu.

Zauważyłem także, że ojciec przyjaciela nieco już wypił przed moim przyjściem, gdyż jego mowa stawała się coraz bardziej bełkotliwa i niewyraźna, a chód z niepewnego, zrobił się chwiejny.

Otworzył drzwi do garażu i zaczął pokazywać mi swój nabytek. Była to naprawdę piękna, elegancka kosiarka, posiadająca niezły silnik i inne ciekawe dodatki, czyniące z niej pojazd dość miły w obsłudze i skuteczny w działaniu.

- Poczekaj tu, skoczę po butelkę - wybełkotał ojciec Lee. – Walniemy sobie jeszcze po jednym.

- Ok. – powiedziałem. – Tylko uważaj na schodach.

- Zamierzam! – zabulgotało coś w jego gardle.

Czekając na niego, zacząłem chodzić po garażu i oglądać go sobie dla zabicia czasu.

Na ścianach wisiały przeróżne narzędzia, na wielkim, metalowym stole stały smary i puszki po farbie, na ziemi wałały się brudne od oleju szmaty i stare, podarte buty.

Nagle, nie wiedzieć czemu, coś pchnęło mnie ku średniej wielkości szafie, która stała w rogu pomieszczenia, a na której wnet odkryłem małą skrzynkę na śrubokręty, klucze i tym podobne, drobne akcesoria.

Dlaczego po nią sięgnąłem – do dziś nie wiem.

Zrobiłem to i otworzyłem ją. Niczego szczególnego w niej odkryłem, poza jakąś ciemną torbą foliową, z której wystawało coś jasnego, przypominającego pakuły do uszczelniania rur i łodzi drewnianych, która to torba obłożona była gęsto różnymi metalowymi drobiazgami.

Wyjąłem ją po chwili i zajrzałem do środka.

Odnalazłem w niej jasną perukę, jasne wąsy i jasną brodę.

Odruchowo, z przerażeniem w oczach, obejrzałem się za siebie – ojciec Lee był jeszcze w domu. Szybko ułożyłem w skrzynce wszystko tak, jak było poprzednio, aby niczego się nie domyślił i położyłem ją z powrotem na szafie w tym samym miejscu, w którym leżała wcześniej.

Zachowałem zimną krew i olimpijskie opanowanie, choć w środku wszystko we mnie wrzało.

Gdy potem wracałem do domu, cały czas myślałem, w jaki sposób wpadł na trop Hanka.

Wiedziałem, że nigdy o nim nie zapomniiał, ale nie przypuszczałem, że kiedyś jego życzenie się spełni i że stać go będzie na taki krok.

Nigdy nie dałem po sobie poznać, że rozwiązałem zagadkę tamtego tajemniczego morderstwa.

Wiedzę tę zachowałem dla siebie.

Nigdy też nie zdobyłem absolutnej pewności, co w życiu lepsze – czy to, co zrobił Lee, wybacząc człowiekowi, który odebrał mu oczy i twarz, czy to, na co potem zdecydował się jego ojciec, który przeszedł w życiu długą, ciernistą drogę, patrząc na cierpienie jedyne go syna.

Niepotrzebna mi ta pewność.

Potrafię żyć bez niej.

I niech tak pozostanie.

10 marca 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 27.03.2013 08:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.